

Przerost formy

13 lipca 2010

Wygląda na to, że nieznaczna większość, bo zaledwie 6 procent spośród 55,31 procenta obywateli, którzy oddali głos, zastosowała się do zalecenia Jerzego Clemenceau, o którym wspominałem w komentarzu sprzed tygodnia, dzięki czemu nowym tubylczym prezydentem III Rzeczypospolitej został Bronisław Komorowski. Głosowało bowiem na niego 53,01 %, podczas gdy na Jarosława Kaczyńskiego – 46,99 %. Z tego też powodu w poważnych państwach ościennych, tzn. w Niemczech i Rosji zapanowała nieukrywana radość, której wyraz dawała nie tylko tamtejsza prasa, ale i politycy – w szczególności zaś niemiecki minister spraw zagranicznych Gwido Westerwelle, skądinąd znany jako ostentacyjny sodomita. Że Nasza Złota Pani Aniela, podobnie jak zimny rosyjski czekista Włodzimierz Putin wiele sobie po Bronisławie Komorowskim obiecują – to rzecz oczywista, ale pan minister Westerwelle?

Wszak tubylczy prezydent-elekt nie tylko jest żonaty, podobnie jak Jan Maria Rokita, czy Aleksander Hall, ale ma nawet pięcioro dzieci, co zresztą wielokrotnie podczas swojej kampanii podkreślał. Najwidoczniej posiadanie dzieci ma jakieś doniosłe znaczenie polityczne – ale minister Westerwelle mimo to nie kryje swojej radości. Musi tkwić w tym jakaś tajemnica, która pewnie zostanie nam objawiona, ale dopiero w stosownym czasie. Na razie musimy kontentować się tym, że geograficzny obraz sympatii dla poszczególnych kandydatów prawie dokładnie pokrywa się z granicami zaborów: pruskiego z jednej oraz austriackiego i rosyjskiego z drugiej strony.

Kto wie, czy to nie ta właśnie okoliczność wywołuje taką radość u strategicznych partnerów, którzy przecież nie tylko snują względem naszego narodu i państwa różne plany, ale nawet uchylają nam od czasu do czasu rąbka tajemnicy. Na przykład CDU i CSU już w maju ubiegłego roku wydały deklarację w sprawie wypędzeń, w której domagały się „uznania praw”

wypędzonych. Jestem pewien, że chodziło o prawo własności, bo jakież by inne? Jeśli tak, to deklaracja zawierała program zmiany stosunków własnościowych na obszarze tzw. „Ziem Utraconych”, które w nomenklaturze polskiej do nie dawna jeszcze nazywane były „Odzyskanymi” – oraz części terytorium Republiki Czeskiej. A całkiem niedawno Jurij Bołdyriew z ukraińskiej Partii Regionów wygłosił w Jałcie na Krymie zaskakujący pogląd, że dopóki Galicja będzie częścią Ukrainy, nie ma mowy o osiągnięciu upragnionej jedności moralno-politycznej ukraińskiego narodu. Wywodzący się z tej samej Partii Regionów prezydent Janukowycz utrzymuje jednak, że Ukraina musi pozostać państwem unitarnym i nie ma mowy o żadnej federacji. Jak w takim razie izolować Galicję od Ukrainy nie zmieniając struktury tego państwa? Ruscy szachiści nie takie sztuki robili, zwłaszcza gdyby chodziło o sprawę umówioną ze strategicznym partnerem, który w zamian za Ziemie Utracone może przecież zechcieć zaoferować Polakom Niderlandy w postaci Galicji ze Lwowem, żeby nie pyskowali. Już Joachim von Ribbentrop tłumaczył, że Morze Czarne to też morze, a cóż to szkodzi jeszcze raz wrócić do tej logicznej argumentacji?

Z punktu widzenia ruskich szachistów taki sposób osiągnięcia przez ukraińskich patriotów upragnionej jedności moralno-politycznej też byłby pewnie do przyjęcia, bo wiadomo – mniejszym samochodem łatwiej się manewruje, zwłaszcza w tłoku. Wygląda na to, że i pani Hilaria Clintonowa, która w przeddzień wyborów tubylczego prezydenta pojawiła się w Krakowie z okazji Święta Demokracji, nie miałaby nic przeciwko temu, oczywiście pod warunkiem zaspokojenia roszczeń majątkowych starszych i mądrzejszych. Z uwagi na ciszę wyborczą unikała spotkania z kandydatami, ale to nic nie szkodzi, bo przecież szef naszej tubylczej dyplomacji, minister Radosław Sikorski, z którym się spotkała, w sam raz nadaje się do roli postillon d'amour. Jak to mówił pan Zagłoba do Bohuna? Białołękowską masz twarz, panie kawalerze, ale i białołękowskie serce; listy tobie wozić, panny porywać... Zresztą pani Hilaria poza tym nie ma do Polski żadnego interesu i

najwyżej a conto dobrego sprawowania może z ministrem Sikorskim podpisać „jeszcze lepszą” umowę o amerykańskiej pomocy rakietowej. Jak pamiętamy, „dobra” umowa, jaka obowiązywała dotychczas, polegała na przywiezieniu do Morąga pojedynczej atrapy wyrzutni rakiet „Patriot”. Na czym może polegać „lepsza”? Pewnie na dwóch atrapach?

Więc kiedy wokół Polski hulają sobie różne takie przeciągi, tubylczy mężycowicze stanu próbują roztasować się w nowych okolicznościach przyrody. Nie obywa się przy tym bez przepychanek, bo jakże inaczej, skoro „domek mały, chata skąpa, Polska, swoi, własne łzy, własne brudy, podłość, kłam...” Pan prezydent-elekt, jakby w przeczuciu rychłego sztorcowania przez szefów razwiedki, którzy nie bez kozery odgrazali się, że z okazji jego zwycięstwa otworzą sobie szampana, dodaje sobie animuszu, przerostami formy nad treścią. Zwyczajne przedtem wręczenie uchwały Państwowej Komisji Wyborczej o wyborze, zamieniło się w wielką galę na Zamku Królewskim w Warszawie, z udziałem partii, rządu, a nawet niektórych pokonanych rywali – z wyjątkiem Jarosława Kaczyńskiego, który jeszcze w wyborczą niedzielę zapowiedział nękanie rządu w sprawie wyjaśnienia okoliczności katastrofy smoleńskiej. W tej sprawie panuje osobliwe zmieszanie; rosyjski wicepremier Sergiusz Iwanow oświadczył, że „wszystko, co można było przekazać, zostało przekazane”, więc nasza niezawisła prokuratura będzie musiała prowadzić śledztwo pewnie na podstawie domniemań i wróżenia z fusów. Na razie zwróciła się do Amerykanów z pytaniem, czy można było na lotnisku w Smoleńsku wytworzyć sztuczną mgłę. Chodzi, ma się rozumieć, o wykluczenie hipotezy zamachu. Niepotrzebnie fatygują Amerykanów, bo przecież nawet na różnych rozrywkowych imprezach robi się taką mgłę z suchego lodu i wody. Czyżby w prokuraturze wojskowej nie wiedzano takich rzeczy? Ciekawe skąd właściwie wojsko dobiera sobie tych wszystkich niezawisłych prokuratorów? Inna rzecz, że jak odpowiednio poinformowani Amerykanie potwierdzą, że sztucznej mgły w żaden sposób nijak wytworzyć nie można, to hipoteza zamachu zostanie

obalona raz na zawsze. I być może o to właśnie chodzi, żeby wyniki niezależnego śledztwa polskiego pokrywały się z wynikami śledztwa rosyjskiego. W przeciwnym razie proces pojednania, którego nie może już się doczekać zwłaszcza środowisko skupione wokół „Głosu Cadyka”, mogły w odległą przyszłość się oddalić.

Ale mniejsza z tym, bo przecież śledztwo w toku, a ta mgła, to może być jakaś Wunderwaffe – piekielna tajemnica wojskowa, więc lepiej korzystać z okazji by siedzieć cicho. Zresztą jakże inaczej, kiedy wybór tubylczego prezydenta-elekta zapoczątkowuje ruch kadrowy od samej góry do samego dołu. Pozostali przy życiu ministrowie prezydenta Kaczyńskiego: Jacek Sasin, Maciej Łopiński, Małgorzata Bochenek, Andrzej Duda i Bożena Borys-Szopa oraz zastępca szefa Biura Bezpieczeństwa Narodowego Witold Waszczykowski zgłosili dymisję, która została skwapliwie przyjęta. Prezydent-elekt zrezygnował z funkcji marszałka Sejmu, którą objął właśnie Grzegorz Schetyna. Wyobrażam sobie, jakie nadzieje wzbudzać musi ta nominacja w „Zbychu”, „Miru” i „Rychu”, którzy, niczym kania dżdżu, wyglądają końca swojego męczeństwa, a kto wie, czy czegoś sobie nie obiecują. Wykluczyć tego nie można, bo właśnie pani filozofowa Magdalena Środzina podniosła klangor, że prezydent-elekt, mimo obietnic, nie pomyślał „zróżnicowaniu płciowym”. Widać jucha, skądś się dowiedziała – no, ale skoro Gwidon Westerwelle tak się cieszy, to cóż zrobić – jeszcze się taki nie urodził, żeby wszystkim dogodził. Zwłaszcza tym, co mu uwierzyli, no nie? Hi, hi!

Autor: Stanisław Michalkiewicz

Źródło: [Goniec](#)